

Wspomnienie o Profesorze Bogdanie Janasie, zwanym Sorem lub Jonesem.

Kiedy przyjechałam na Dworzec Wschodni w sierpniu 1985, żeby dołączyć na obóz w Tatrach organizowany przez XXVIII LO Kochanowskiego, na środku hali kłębiła się młodzież składająca w jednym miejscu namioty i brezentowe torby z napisem JONES (czyt. Dżons). Jonesa zapamiętałam w czerwonym swetrze, jakie nosili GOPR-owcy, w który miał wbitą złotą Górską Odznakę Turystyczną PTTK. Nosił zwykle ciężkie buty, niepretensjonalne ubranie, był człowiekiem skromnym. Wyglądał na surowego mężczyznę z charakterem i wielkim sercem. I tak było....

Sor znał góry, ich urok i niebezpieczeństwo, od lat wyjeżdżał co najmniej dwa razy w roku na obozy z młodzieżą szkolną. Gnał po dolinach i szczytach także własne dzieci - Piotrkę - nieprzeciętnie inteligentnego i z ogromną wiedzą, z którym można było pogadać na każdy temat, Maksa - uwielbianego przez wszystkich przewodnika i naszego lekarza i Ankę, która trochę była od nas młodsza, ale dzielnie aspirowała do bycia częścią tej grupy, co było nie lada zadaniem w grupie młodzieży, która jak najszybciej chciała być dorosła i na młodszych oglądała się niechętnie. Na obozy czasem przyjeżdżała Sorowa, czyli żona Sora i przywoziła wtedy ze sobą psa Miśkę, która oszczekiwała obcych pilnując naszych namiotów, jak byliśmy „na trasie”. Kiedy wracaliśmy wykończeni po długich wyprawach, Sorowa zarządzała posiłkiem i wdzięcznie, i żartobliwie stopniowała dla nas przymiotnik „głupi, głupszy, turysta”, co wzbudzało gromki śmiech i dumę z przejścia kolejnej trasy.

Sor wiedział o górach wszystko – my wówczas nic, a ja na pewno. Wszystko co powiedział było święte i nie pamiętam, żeby wzbudzał co innego niż autorytet. No więc uczył nas tych gór przez ich doświadczenie, bo Sor wiele nie mówił. Jak jednak mówił, to wszyscy słuchali, bo w krótkich zdaniach było wiele treści. Uczył nas gór, a my nauczyliśmy się i gór i siebie, bo byliśmy wtedy niedoświadczeni, krnąbrni, czasem nieodpowiedzialni, lubiliśmy brawurę – wszystko stosownie do wieku. Pamiętam jak podczas postojów na trasie wyciągał rękę i objaśniał nam geografię gór – nazywał szczyty, doliny, przełęcze, pamiętał kolory szlaków, jak się ze sobą łączą i ile trzeba czasu na jaką trasę. Był wszędzie. Dla mnie, która miała chyba najgorszą kondycję na każdym obozie, było to nieprawdopodobne, ale ciągnęłam się w ogonie grupy, bo chciałam dać radę, pokonać własne słabości i wejść na te szczyty, o których opowiadał Sor. Jadło się w tedy słabo – ser żółty, dżem, obiady domowe u gaździny były rarytasem, w schroniskach jedzenie było wyjątkowo podłe – poza chlebem ze smalcem i kaszą z sosem, o dumnej nazwie „gulasz”, niewiele w nich było. Może czasem pomidorowa. Nie pamiętam, żebyśmy nosili wodę, chyba piliśmy ze strumienia, na trasę braliśmy kanapki, puszki i kochery, żeby coś podgrzać. Nie było wody mineralnej w butelkach, płynów izotonicznych, batonów energetycznych, specjalnych oddychających ubrań i skarpet. Mieliśmy na nogach zwykłe ciężkie i niewygodne pionierki, które powodowały pęcherze i obtarcia, z którymi rozprawiał się Maks z miną chirurga, którym później został.

Nie przestawaliśmy jeździć na obozy Sora, nawet wtedy, kiedy już byliśmy po maturze i nie mogliśmy być formalnie częścią wiary obozowej. Przyjeżdżaliśmy z namiotami, a Sor zgadzał się, żebyśmy rozbili je obok i razem z nimi chodzili na trasy. Mówili wtedy na nas „Starzy”, a my patrzyliśmy jak „Młodzi” zaczynają tę sama przygodę.

Została mi w pamięci historia, kiedy z grupą „Starych” (5 osób) poszliśmy przez Iwaniacką przełęcz na Kominiarski Wierch. Potem zeszliśmy do Schroniska na Hali Ornak, wyszliśmy Kościeliską do Kir i jeszcze pojechaliśmy do Zakopanego. Zaczęliśmy wracać do obozu w Dolinie Chochołowskiej, kiedy z dworca PKS nie odchodził w tę stronę żaden autobus. Wróciliśmy do obozu piechotą koło 23:00, albo później. Z perspektywy czasu podziwiam tę kondycję! Na przyzbie chaty naszej gaźdżiny, u której mieliśmy pole namiotowe i stołówkę (teraz jest tam parkingi dla rowerów) siedział Jones. Wyglądał jak burza nad Tatrami i tak też nas przyjął. Do głowy nam nie przyszło, że mimo, że byliśmy „Starzy” i nie byliśmy formalnie częścią grupy, za którą odpowiadał Sor, denerwował się o nas jak o własne dzieci, a wyszliśmy z obozu o świcie. Podczas gdy my bawiliśmy się w najlepsze na szlakach, a potem w Zakopanem, on niepokoił się, czy nam się coś nie stało. Grzmiał i huczał, a do nas powoli docierało, że mieliśmy dwie różne perspektywy. Jego złość była karą przez cały następny dzień. Miał rację. Takiej lekcji odpowiedzialności, powagi i dojrzałości nie odebrałam chyba w życiu od nikogo. Dodatkowym bólem było odrabianie u Sora zaufania i czekanie, aż przestanie się na nas złościć i traktować normalnie, na co ewidentnie sobie nie zasłużyliśmy.

Sor miał ogromną wiedzę, ale jak nie wiedział, to umiał powiedzieć „nie wiem”. Gdy trzeba było umiał też przyznać się do błędu – to budziło powszechny szacunek.

Sorze, wiadomość o tym, że Pan zawołał Cię do siebie dotarła do mnie, gdy schodziłam z Grzesia do Doliny Chochołowskiej, tej samej którą przemierzaliśmy po wielokroć, żeby dostać się na szlaki Tatr Zachodnich i gdzie mieliśmy przez kilka lat bazę wypadową.

Miałam szczęście, że byłeś w moim życiu, może niedługo a intensywnie i wtedy, kiedy charakter człowieka kształtuje się na zawsze. Patrzę na zdjęcie, które mi podarowałeś z dedykacją. Opierasz się na nim o grabie po tym, jak nas zmobilizowałeś, żebyśmy w Dolinie Kościeliskiej pomogli góralom uformować snopy siana przed burzą, która w przeciwnym razie rozwiałaby wszystko. Mam nadzieję, że chodzisz po Tatrach wciąż i wciąż będąc już teraz w innym wymiarze... Zakorzeniona przez Ciebie miłość do Tatr gna mnie po szczytach, na których wspominam tamte lata, tamte szlaki, tamtego Jonesa.

Izabela Stachurska

(uczestniczka obozów letnich i zimowych w latach 1985-1988)